

PIOTR STRZEŻYSZ

ZAISTNIENIA



Bezdroża

Tekst: Piotr Strzeżysz

Fotografia na okładce: Piotr Strzeżysz

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Agnieszka Szumc

Korekta: Izabela Sieranc

Skład: Łukasz Karolewski, Justyna Matak

Projekt okładki: hotmedia Jan Paluch

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bezais>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-6456-1

Copyright © Piotr Strzeżysz, 2020

Copyright © Helion, 2020

- **Kup książkę**
- **Poleć książkę**
- **Oceń książkę**

- **Księgarnia internetowa**
- **Lubią to!**
- Nasza społeczność**

Uważam życie za gospodę, w której muszę czekać na dyliżans z otchłani. Nie wiem, dokąd mnie zawiezie, bo niczego nie wiem. (...) Dla wszystkich zapadnie noc i po wszystkich przyjedzie dyliżans.

Cieszę się wiatrem, który dostaję, i duszą, którą dostałem, aby się nim cieszyć, i o nic więcej nie pytam ani niczego nie szukam. Jeżeli to, co zapisuję w tym dzienniku podróży, zdoła kiedyś dać rozrywkę innym podróżnikom, to dobrze. Jeżeli tego nie przeczytają lub nie znajdą w tym rozrywki, też dobrze.

F. Pessoa, *Księga niepokoju*
spisana przez Bernarda Soaresa,
pomocnika księgowego w Lizbonie

Wstęp

Tamten dzień, kiedy pojawiłaś się po raz pierwszy, miał się już ku zachodowi. Biegałem po oszronionej łące i przystanąłem, zdyszany, by złapać oddech. Miałem na sobie ciepły kożuszek z głębokimi kieszeniami pełnymi grzechoczących koralików, wełniane rękawiczki z jednym palcem wydziergane przez babcię, na stopach znoszone śniegowce, a na głowie czapkę uszatkę, którą podzielił się ze mną mój dziadek. Czapka była ogromna, zakrywała pół twarzy, ale wystarczył lekki ruch ręką, niepozorny, przesuwający ją nieco w górę gest, by od razu lepiej leżała, mniej łaskotała, nie przyćmiewała sobą świata i na nowo odsłaniała rozległą dolinę wraz z rosnącym pośrodku niej samotnym, rozłożystym drzewem.

A świat był jesienny, stalowoszary, spowity mgiełką, trochę niepełny, zaledwie naszkicowany. I choć огоłocony z liści, kwiatów, słońca i motyli, zastygły w oczekiwaniu na nadchodzącą zimę, to w swoim fragmentarycznym istnieniu przytulnie bezpieczny. Być może z własnej woli tak zamarł, wypełniwszy się bezruchem, bo nie chciał spłoszyć kłębowiska jasnych, rozgwiezdných kształtów, które unosiły się bezszelestnie w delikatnych podmuchach wiatru coraz liczniej i wyraźniej, aż w końcu zgęstniały tłumnie, zawiesiście, zacierając kontury, pokrywając bielą całą łąkę aż po graniczącą z doliną leśną dal.

Zadarłem głowę i otworzyłem się na spotkanie. Rozhuśtane płatki śniegu osiadały na mnie łagodnie, po czym nieruchomiały. Czułem je

wyraźniej dopiero wtedy, gdy topniały na policzkach, na czubku nosa, gdy opadały na język i laskocząco wnikały głębiej, rozchodziły się gdzieś w środku mnie.

Wirowałem z szeroko rozłożonymi ramionami, mrużyłem oczy od szczypiącego śniegu, w końcu zakreśliło mi się w głowie i upadłem. Leżałem na ziemi, wpatrzony w obracającą się nade mną przestrzeń. Niebo zataczało spiralne kręgi i kołysało się wraz z dryfującymi w powietrzu płatkami, które nieposłuszne siłom grawitacji wzbijały się wysoko, by za moment zagubić się w śnieżnym тумanie.

Świat ciemniał, zaczęły się szarości i zrobiło się chłodniej. Zaburczało mi w brzuchu. „Przegapiłem porę obiadu”, pomyślałem. Babcia znów będzie rzędzić, że musi odgrzewać. Poprzedniego dnia skubała kurę. Przed południem, zanim wyszła do kościoła na sumę, wstawiła rosół, jak to w niedzielę, a mięso włożyła do piekarnika. Nawet jeśli wszyscy zdążyli już zjeść, na pewno odłożyła dla mnie udko, które poda z pieczonymi ziemniakami i zasmażaną kapustą. Do picia kompot z suszonych jabłek i śliwek, a na deser drożdżowe ciasto z rodzynkami, posypane cukrem pudrem. Długi kawałek, z lekko przypalonym, chrupiącym brzegiem, odkrojony od blachy i podzielony na trzy części, żeby się zmieścił na talerzu.

Przełknąłem głośno ślinę. Podniosłem się z ziemi, zeszytniałą z zimna rękawiczką otrzepałem biały puch z kożuszka, po czym ruszyłem w stronę domu.

Dochodziłem do skraju lasu, kiedy w odgłos kroków stawianych na skrzypiącym pod butami śniegu wdał się kruczy zaśpiew. Wybrzmiał mocno, tubalnie, z wielokrotnionym leśnym echem. Obejrzałem się. W wypełniającej cały świat jaskrawości, na drugim końcu widzenia, dostrzegłem drzewo ośnieżone, konarami pochylone, zatęsknione, a na nim istotę latającą, czarną, kruczącą.

– Kim jesteś? – zapytałem.

– Drogą. Czekałam na ciebie.

- Dokąd prowadzisz?
- Za istnienie.
- A gdzie to jest?
- Tam, gdzie już jesteś. Już tam czekasz na siebie.

I. Zatęsknienia

Do budynku dojechałem późnym popołudniem. Wypatrywałem go od rana, wyczekiwałem od dobrych kilku dni. Choć doskonale pamiętałem, gdzie się znajduje, to gdybym z jakichś niezrozumiałych powodów nie mógł do niego trafić, bez większego zdziwienia zaakceptowałbym jego nieobecność, a zakorzeniony w pamięci widok miejsca i parę związanych z nim wspomnień potraktowałbym jako wyjątkowo realny wytwór bujnej wyobraźni, fragment snu, który po przebudzeniu ciągle trwa i niezauważalnie przemienia się w odczuwaną wszystkimi zmysłami rzeczywistość.

W pierwszej chwili w ogóle go nie poznałem. Przefiltrowane przez grubą warstwę chmur światło opadało na niego miękko i wycieniowawszy kontury, naddawało mu pastelowej barwy wyschniętej ziemi, przez co niemal wtapiał się w jasnobrunatny krajobraz. Zdawał się też stać o wiele bliżej głównej drogi i jakby zmalał, skurczył się w sobie, pozapadał. Osamotnił się jeszcze bardziej, zabiedził. Trudno powiedzieć, czy to moja podświadomość z biegiem czasu wypaczyła przechowywany w pamięci obraz, czy może dom sam z siebie uznał, że tamtej pustki sprzed niemal dwóch lat było mu za mało? Nie dość tamtego smutku, który zagnieździł się w psich, przepełnionych czekaniem spojrzeniach?

Szesnaście miesięcy wcześniej przemieszczałem się tą samą drogą, ale w przeciwną stronę, przejeżdżając przez czernasty, przedostatni

kraj znajdujący się na trasie rozpoczętej na Alasce podróży do Patagonii¹. Był to jeden z ostatnich dni lutego 2015 roku; dzień nieprawdopodobnie wietrzny, rozciągnięty na kilkanaście godzin wśród płaskiego, jednostajnego krajobrazu. Słońce zbliżało się powoli do linii horyzontu, a karykaturalny, rowerowy cień wydłużał się coraz bardziej, perspektywicznie zawężając się w stronę lewego pobocza. Pedalowałem w doskonałej aurze wzdłuż atlantyckiego wybrzeża, w lekkim amoku potęgowanym wiejącym w plecy mocnym wiatrem. To, że na niebie szykuje się coś niedobrego, zauważyłem dopiero, gdy zatrzymałem się za potrzebą. Zsiadając z roweru, obejrzałem się i ujrzałem nadciągający z północnego zachodu ciemny kształt, wyglądający jak wysmukłe tornado. Powiększał się z każdą chwilą i nacierał prosto na mnie. Musiałem uciekać. Ale dokąd?

Gdyby nie przysłowiowy łut szczęścia, kto wie, jak wyglądałaby nadchodząca noc i czy w końcu nie ściągnąłbym na siebie któregoś z wściekle uderzających raz za razem piorunów i nie użyłnił popiołem patagońskiej ziemi. Znajdujące się po lewej stronie jezdni zabudowania dostrzegłem zupełnym przypadkiem, w świetle jednej z przecinających niebo błyskawic. Dlaczego w ogóle ruszyłem dalej, zamiast rozstawić przy drodze namiot, aby przeczekać nawałnicę? Przecież wiedziałem, że jeśli burza mnie dosięgnie, to przemoczony i zziębnięty będę lawirował nocą wśród trzaskających zewsząd wyładowań. Do następnej miejscowości miałem kilkadziesiąt kilometrów, a jadąc przez pampę, nie mogłem liczyć na znalezienie jakiegokolwiek naturalnego schronienia. Rosnące tu i ówdzie niewielkie zarośla ombu, nawet jeśli osłoniłyby mnie nieco od wiatru, to nie stanowiłyby żadnej ochrony przed zacinającym deszczem.

Przyznaję, że podjęta decyzja odbiegała od zdrowego rozsądku w stopniu co najmniej równym sile wiejącego wiatru i jeśli cokolwiek miałoby tłumaczyć mój irracjonalny wybór, byłyby to właśnie owe

¹ Podróż ta została opisana w książce *Sen powrotu*, opublikowanej w 2016 roku nakładem Wydawnictwa Bezdroża.

wyjątkowo mocne poddmuchy zimnego powietrza, popychające mnie niczym niewidzialny tłok z takim impetem i zacięciem, że niemal nie pedałowałem, nie jechałem, tylko unosiłem się nad prostą po horyzont drogą, szybowałem z wiatrem, płynąłem między ziemią a rozpostartym nade mną ciemniejącym niebem, z którego w końcu chlusnęło sążnięcie, bez zapowiedzi, z rozmachem, zalewając moją pochyloną na rowerze postać, podtapiając ulicę, pogrążając w deszczu cały świat.

Rozświetlony na ułamek sekundy budynek wyglądał jak złowieszcza fatamorgana. Pojawił się tak nagle i niespodziewanie, że chyba coś wykrzyknąłem, nie tyle ze strachu, ile ze zdumienia. Jeśli naprawdę wydałem z siebie jakieś dźwięki, to rozmyły się natychmiast w szumie nawałnicy i świstach wyjącego wiatru.

Zatrzymałem się. Klucząc między kałużami, podszedłem w stronę dostrzeżonego prostokątnego kształtu. Wąska, ale silna smuga światła latarki wyodrębniła zarys budynku. Po kilku krokach znalazłem się na zadaszonym patio. Trudno powiedzieć, czy nieobecność domowników bardziej mniej ucieszyła, czy zmartwiła. Pozamykane okna, zaryglowane drzwi i walające się wszędzie pordzewiałe sprzęty nie budziły wątpliwości – miejsce od dawna było opuszczone i pozostawione samemu sobie.

Dochodziła dziesiąta. Przebrałem się w suche rzeczy i kucnąłem pod ścianą. Coraz rzadziej pojawiające się błyskawice i cichsze grzmoty znańczyły, że burza się oddalała. Musiałem podjąć decyzję: mogłem rozbić namiot w pobliżu, mogłem też po prostu jechać dalej, zwłaszcza że wciąż wiał silny wiatr, który niósłby mnie przez pampę na południe. Tkwiłem pod przeciekającym okapem, dając się ponieść lekkiemu podnieceniu, którego substancjalność odczuwałem bardzo wyraźnie nie tylko w sobie, ale również wokół mnie, pośród onomatopeicznych śladów domniemanych obecności: stukotów, zgrzytów, skrzypień i tajemniczych trzasków – nocnych akordów wybrzmiewających na tle oddalających się burzowych pogłosów.

Zdecydowałem, że zostaję. Być może dociągnąłbym do kolejnego miasteczka, gdzie znalazłbym lepsze miejsce na nocleg, ale ten, który się trafił, nie był przecież zły. Poza tym byłem już głodny i po kilkudziesięciominutowym względnym bezruchu dotarło do mnie, jak potwornie jestem zmęczony.

Zdjąłem z bagażnika namiot i rozłożyłem go na skrzypiących deskach. Pochyliłem się, by włożyć i naciągnąć maszty, kiedy za plecami usłyszałem dziwne dźwięki przypominające zdławione skomlenie. Odwróciłem się. Z mroku wynurzyły się dwa psy. Szczekały, ale tak jakoś niepewnie, uchylając się od oślepiającego je jasnego światła. Próbowałem do nich podejść, jednak ruch był najwyraźniej zbyt gwałtowny, bo spłoszyły się i zniknęły w ciemnościach. Zaciekawiony, obszedłem domokoła, lecz niczego nie znalazłem. Byłem już skłonny pomyśleć, że coś mi się ze zmęczenia przywidziało, kiedy wśród pojedynczych, rezonujących na blaszanym dachu kropel deszczu usłyszałem cichy skowyt. Tym razem odnalazłem zwierzęta bez trudu – leżały na kawałku papy w niewielkiej budzie, skulone w sobie, niepewne, czy gryźć, czy szczekać, czy może ponownie uciekać. Poświeciłem latarką dokoła. Jasna plama zaawłaszczyła blaszane, skorodowane wnętrza, wyjaskrawiała kształty i wydzieliła przestrzeń. „Idealne miejsce na rozstawienie namiotu”, pomyślałem i wróciłem po pozostawione przed frontem budynku rzeczy.

Niedługo potem siedziałem na rozłożonej na ziemi karimacie i przygotowywałem kolację. Psy warowały w ciszy, nie dalej niż trzy metry obok. Zagotowałem wodę, dodałem makaron, parówki, sos pomidorowy, czosnek i oregano. Pachniało. Nie mogły nie podejść. Widać było, że się boją, ale głód zabija wszelki strach. Patrzyły na mnie, mrużąc oczy drażnione światłem latarki. Nie uciekały. Czekały. Nawet gdy już przyzwyczały się do mojej obecności i wspólnie zjedliśmy kolację, kiedy dały się pogłaskać i weszły do namiotu, a w końcu położyły się ufnie obok – wciąż czekały. To czekanie szło się w ich spojrzeniach, zawodziło w skomleniach, wystawało na przestrzał z obciągniętych skórą kości.

Było go tyle, że nie mieściło się w ciasnej budzie, unosiło się pod sufit, pełzało po ścianach, aż w końcu wylewało się na zewnątrz, uchodząc poprzez drewniane szpary, i ginęło w mroku, przemieniając się w cichnące, tęskne zawodzenie, ni to psi, ni labędzi śpiew.

Tym razem nie powitało mnie ujadanie, żaden pies nie zaszczekał, a sam budynek, umocowany na kruchym fundamencie nieobecności, w bezdeszczowej aurze wydawał się jeszcze silniej odrealniony, niemal przezroczysty. Zajrzałem do budy. Blaszanе miski leżały w kącie, puste. Przez niemal rozsypujące się, spróchniałe deski przeciskało się żółtawe światło. Przeszukałem dokładnie wszystkie kąty, ale nie natknąłem się na żadne ślady. Choćby zaschnięte. Jedynie okna i drzwi wydawały się szczelniej zamknięte, blachy mocniej skorodowane, wychodek niemal do połowy przysypany piaskiem.

Odpiąłem z bagażnika sakwę i wysypałem na ziemię jej zawartość. Czegóż tam nie było! Parówki, gąbczasty chleb tostowy, orzechy, rodzyнки, płatki owsiane, kilka konserw, dwa kilo psiej karmy, pokruszone ciastka, niedojedzony makaron, fasola i resztki czekolady, którą poprzedniego dnia obdarował mnie spotkany na parkingu chilijski kierowca ciężarówki.

Rozłożyłem karimatę, usiadłem i wgryzłem się w posmarowany pasztetem chleb. Pieczywo obrzydliwe, ale konserwa niczego sobie. Najtańsza, kupiona w supermarkecie La Anónima. Biorąc pod uwagę stosunek ceny do liczby kalorii i uzyskiwanych z blaszanego opakowania wartości odżywczych, wieprzowo-drobiowy pasztet niezmiennie pozostawał najatrakcyjniejszą ofertą argentyńskich sklepów. Nie wliczając gumowatego chleba i gotowanego wieczorem makaronu, fasoli i parówek, przez pierwszy miesiąc podróży konserwy stanowiły główny składnik mojej diety. Owszem, raz na kilkaset kilometrów trafiały się restauracje czy zajazdy ze sławnym *asado* – grillowanym mięsem podawanym z frytkami i surówką – ale cena takich dań znacznie przekraczała przewidziany przeze mnie na podróż dzienny budżet.

Jadłem bez pośpiechu, w ciszy, patrząc na leniwie przewalające się po niebie kłębiaste chmury. Było mi dobrze, choć trochę smutno. Myślałem, że będą. Naprawdę ludziłem się, że znów je spotkam. Psią karmę wiozłem od kilku dni. No i parówki na deser. Prawie kilo. Nie zmarnują się, zjem, ale o wiele przyjemniej byłoby się podzielić. Duży chwyciłaby łapczywie i od razu połykał w całości. Mały nadgryzałby niezgrabnie, wypłukał, zgarniał z ziemi, znów wypłukał, patrzył na przeżutą papkę, po czym ponownie wkładałby ją między zęby. Jadłby powoli, aby przedłużyć niewątpliwą przyjemność zapełnienia pustego żołądka. A gdy z pełnymi brzuchami leżelibyśmy już obok siebie, poopowiadalbym trochę o drodze. Wyjaśniłbym, co mnie ponownie sprowadziło w te strony. Wy tłumaczyłbym, że tym razem jadę z południa, z samego Ushuaia, z końca świata albo z początku, zależy jak na mapę spojrzeć, w sumie na jedno wychodzi. I że kieruję się na północ, kto wie, może aż na Alaskę, jak sił wystarczy i chęci... Zostało dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów. Niby dużo, ale jeśli taką odległość rozciągnąć w czasie, to wcale nie tak wiele.

Opowiedziałbym o wielorybach, które podpatrywałem w zatoce San Matías, i o przygodzie z uchatkami patagońskimi, tymi samymi, co z nie do końca zrozumiałych powodów gwałcą pingwiny. Sam im ledwo umknąłem: fotografowałem je z wysokiej na kilka metrów skarpy i nie dostrzegłem zbliżającego się w moją stronę samca. Był już naprawdę bardzo blisko i gdyby nie gardłowy dźwięk, jaki z siebie wydał, nie wiadomo, czy moja podróż nie zakończyłaby się przedwcześnie.

Nie wiem, czy morski stwór podchodził, bo chciał mi zrobić krzywdę, czy tylko nastraszyć, podobnie jak nigdy się nie dowiem, czy widział we mnie człowieka, pingwina czy niewyrośniętą uchatkę. Może po prostu broził dostępu do pozostawionego na plaży haremu i strzegł zajętego terytorium? Cokolwiek miał w głowie, zachowywał się dość agresywnie.

Gdyby doszło do konfrontacji w środowisku wodnym, nie miałbym żadnych szans, na lądzie jednak to ja posiadałem przewagę. Nie musiałem się obawiać, że ryczący, sunący na wielkich płetwach samiec mnie

dopadnie. Zdaje się, że on również był doskonale świadom własnej ułomności, bo gdy oddaliłem się na kilka metrów, zaprzestał pogoni, zatrzymał się, uniósł wysoko głowę, odchylając ją nieco do tyłu, i wydał z siebie kolejny, przypominający przeciągle chrapanie odgłos, po czym pociągnął cielsko w stronę oceanu i stoczył się po piaszczystym uskoku.

W całej tej sytuacji nie byłoby w zasadzie niczego nadzwyczajnego, gdyby nie to, że spotkaliśmy się na skarpie. Do dziś zastanawiam się, jak on tam wszedł. Którędy? Urwisko ciągnęło się kilometrami. Nawet mnie, po tym, jak już zaspokoilem ciekawość, podglądając i fotografując odpoczywające na plaży zwierzęta, sporo trudu kosztowało wdrapanie się z powrotem stromą, osuwającą się piaszczystą ścianą.

Dojadłem gumowaty chleb i schowałem resztę jedzenia do sakwy. Patrzyłem na budynek, wciąż nic do mnie nie mówił. Uparcie milczał. Podniosłem kamyk z ziemi i cisnąłem nim w blaszaną komórkę. Dostała mocno. Stęknęła głośno krótkim, pustym dźwiękiem, momentalnie połkniętym przez ciszę. Siedziałem bez ruchu jeszcze chwilę. W końcu podniosłem się, spakowałem pozostałe rzeczy, wsiadłem na rower i ruszyłem w dalszą drogę. Wiatr się wybudził. Łagodnie naginał żdźbła wyschniętej trawy. Jechałem niespiesznie pośrodku argentyńskiej pampy, lekko naciskając na pedały. Długi, wysmukły cień podskakiwał na nierównym poboczu. Świat pachniał wczesną wiosną, niebo było przejrzyste.

Po kilku minutach zatrzymałem się i odwróciłem. Przymknąłem oczy. Dwa małe, rozedrgane, ciemne punkty unosiły się lekko nad ziemią, niewyraźne, rozmazane w swoim zaczepieniu, zawieszeniu, niemal bezruchu, bo zamiast zbliżyć się do mnie, wydawały się biec wciąż w tym samym miejscu, ale coraz wolniej, delikatniej, tracąc kontury, gasnąc, ubywając, aż w końcu rozplynęły się całe, ulotniły się, znikły.

Spis treści

Wstęp	7
I. Zatęsknienia	11
II. Zapatrzenia	19
III. Zamyślenia	25
IV. Zagoszczenia	31
V. Zaciemnienia	39
VI. Zaiskrzenia	47
VII. Zaślepienia	61
VIII. Zawężenia	75
IX. Zatracenia	83
X. Zamarzenia	91
XI. Zadawnienia	99
XII. Zadomowienia	109
XIII. Zadziwienia	123
XIV. Zapętlenia	135
Zakończenie	143

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**